

Siła optymizmu

– Jeśli w moim wieku chodzę o własnych siłach, to już jest dobrze i należy się z tego cieszyć – mówi Halina Gryglaszewska, 88-letnia aktorka, która w nowej inscenizacji „Kordiana” zagra rolę... papieża

– Ogromnie się cieszę, że mimo moich 88 lat powierzono mi rolę w miejscu, gdzie wszystko dla mnie się zaczęło. Będę grała... papieża w nowej inscenizacji „Kordiana” w reżyserii Janusza Wiśniewskiego. To bardzo intrygująca propozycja, mam nad czym rozmyślać, jak to wszystko ugryźć – mówi Halina Gryglaszewska, która niemal całe swoje zawodowe życie związała z Teatrem im. J. Słowackiego.

Zadebiutowała rolą Dziewki w „Kłatwie” Wyspiańskiego, obok ukochanego pedagoga Władysława Woźnika, wyreżyserowanej przez Bronisława Dąbrowskiego. A potem była tytułowa Balladyna i wiele ról dramatycznych, heroin, postaci psychologicznie złożonych i kobiet silnych. – *Teatr pochłaniał mnie, nadal śledzę, co się w nim dzieje, choć zmienia się on na moich oczach i nie zawsze zgadzam się na taki, który dziś się propaguje. Należę do pokolenia aktorek, które wielki Karol Frycz uczył nawet takich rzeczy, jak odrzucanie trenu w sposób aktorski. Bo w zawodzie, obok wyobraźni, interpretacji, wizji artystycznej bardzo ważne było także rzemiosło. Dzisiaj w teatr wkłada się często i beztroska, i niechlujstwo.*

Zanim jednak Halina Gryglaszewska dotarła do Krakowa, przemierzyła długą drogę: urodzona w Charkowie, gimnazjum kończyła w Wilnie, a maturę zdawała w Warszawie. Po drodze był jeszcze Lwów, Brześć Litewski i Nowy Sącz – peregrynacje te wiązały się z pracą ojca aktorki, który będąc geodetą przenosił się z miejsca na miejsce. Ze swoich podróży najmiej wspomina Wilno, jako miasto urokliwe i o niepowtarzalnym klimacie. – *Życzliwość i ciepło ludzi promieniowały z każdego kąta. Po wojnie odwiedziłam Wilno z teatrem. Chodziłam po tych wąskich uliczkach, odnalazłam dom, w którym mieszkaliśmy. Ale to był smutny powrót, bo zobaczyłam ruinę – poszarzałe, stare dzielnice, niegdyś piękne, teraz dość przerażające, bo zniszczone, nędzne, brudne. Nie wiem jak jest obecnie, zapewne lepiej. Jedno się oczywiście nie zmieniło – cudowne położenie miasta na pagórkach. Jako gimnazjalistka należąca do harcerstwa zwiedziłam sporo wileńskich okolic.*

Aktorstwem zaraziła się najprawdopodobniej od ojca, który wyżywał się w teatrze amatorskim. Jednak początkowo zdawała na socjologię i dziennikarstwo, bo aktorstwa się bała. Zamarzyła więc studia reżyserkie, ale takich wówczas nie było. Gdy w końcu odważyła się stanąć do egzaminów w Państwowej Szkole Dramatycznej w Krakowie, recytując wiersz Makuszyńskiego „O księżniczce zamienionej w kobyłę”, komisja

uznała, że nadaje się na studentkę. – *Na egzaminie byłam ubrana w jakąś biedną sukienkę, nogi miałam obandażowane, bo były pokaleczone od chodzenia w wojennych drewniakach – musiałam sprawić dość komiczne wrażenie. A potem zaczęły się cudowne lata wśród wspaniałych pedagogów: Frycza, Trzczińskiego, Nowakowskiego, Woźnika. Wśród studentów byli m.in. Holoubek, Mikołajska, Ślaska, Kruczyński. Jakże wszyscy spragnieni byliśmy wtedy wiedzy!*

Warunki psychofizyczne predestynowały aktorkę do ról silnych, władczych kobiet. Taką była jako Gertruda w „Hamlecie”, Gwinona w „Lili Wenedzie”, Dulka, caryca Katarzyna w „Polonezie” Sity, Wassa Żeleznowa. Z perspektywy czasu wspomina to z nutką żalu. – *Zawsze lubiłam komedie i bardzo dobrze czułam się w lepszym repertuarze. Ale postrzegano mnie jako osobę o cechach przywódczych, apodyktyczną i w takich rolach mnie obsadzano.*

Życie obsadziło aktorkę również w roli dyrektora krakowskiego teatru Rozmaitości – pełniła tę funkcję przez osiem lat. – *I o osiem za długo. To nie była łatwa praca. Spotkałam się w niej z moimi kolegami ze szkoły. Lecz oni dość niechętnie podchodzili do nowych form, które usiłowałam wprowadzić. Dlatego z grupą młodzieży, którą przyjął do teatru, stworzyliśmy Scenę Faktu, sądząc, że bardzo interesujący nurt naszej działalności. Do dziś mam w pamięci wiele chłaskających recenzji za moje tamtejsze prace reżyserskie – za role miałam zwykle świetne.*

W życiu artystycznym Haliny Gryglaszewskiej był też Teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach, Stary Teatr, w którym zagrała m.in. Królową w „Hamlecie”, Szimę w „Cydzie” w znakomitej reżyserii Romana Zawistowskiego, oraz kielecka scena, gdzie występowała i reżyserowała. Bo reżyseria była drugim zawodem aktorki. Spod jej ręki wyszły m.in. takie spektakle jak: „Wojna i pokój”, „Barbara Radziwiłłówna”, „Cyd”, „Makbet”. Jako aktorka do reżyserów też miała szczęście, pracując z wieloma mistrzami. – *Woźnik, Wierciński, w Warszawie Świdorski, który zaprosił mnie do „Niespodzianki” Rostworowskiego – to były kolosy reżyserii. Bez dobrego reżysera nie ma aktora. Dzisiaj młodzi nie zawsze zdają sobie z tego sprawę.*

W latach 70. aktorka sporo grała w Teatrze Telewizji. Wówczas krakowski ośrodek był bardzo mocny. Kręciło się wiele, a Irena Wollen jeździła do Warszawy i „wyszarpywała” zgodę na kolejne tytuły.

Pasją aktorki było także nauczanie. Swoją przygodę pedagogiczną rozpoczęła w 1949



Halina Gryglaszewska w roli Wandzi w spektaklu „Wstań córko, idź”. Reż. Jan Błeszyński, rok 1988.

Fot. Zbigniew Łagocki

roku. I ponoć od początku studentki bardzo jej się bali. – *Sądzi pani zapewne, że z powodu mojej apodyktyczności, którą wielu mi wytyka? Jeśli bywałam wściekła i ostra, to dlatego, że chciałam ze studentów wyciągnąć jak najwięcej. A wszystkich tak naprawdę bardzo lubiłam. Byłam ostra dla dobra studentów. A oni niejednokrotnie potrafili mnie zaskakiwać swoimi propozycjami. Ja, stary belfer, nieraz otwierałam zdumione oczy na ich aktorskie rozwiązania. Pierwszą grupę moich studentów stanowili m.in. Cybulski, Kobiela, Jędrusik, Budzisz-Krzyżanowska. Od początku dostrzegłam ich nieprzeciętny talent. Byli niepokorni, bardziej niż inni zbuntowani i ciekawi wszystkiego. Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Pamiętam, jak siadaliśmy u mnie w domu na podłodze, zjadali konfitury mojej mamy i dyskutowali. O wszystkim. O życiu, sztuce, sprawach błahych i tych serio. Potem przychodziły kolejne roczniki, aż po kilkudziesięciu latach pracy sekretarka wręczyła mi na korytarzu świstek papieru od nowego rektora, Jerzego Stuhra, będący wypowiedzeniem. To zabolowało i bolało długo: fakt rozstania, ale przede wszystkim forma.*

Wówczas pani profesor znalazła sobie inne zajęcie: zrobiła kurs przewodnika po krakowskim Kazimierzu. To był sposób na wypełnienie pustki, która pojawiła się w życiu tej energicznej osoby. – *Miałam nie tylko nowe zajęcie, ale przede wszystkim zaczęłam zgłębiać fantastyczną literaturę żydowską. Weszłam*

w świat, o który ocierałam się od dziecka. W Nowym Sączu mieszkaliśmy obok tzw. dzielnicy żydowskiej, w szkole miałam koleżanki Żydówki, największą moją przyjaciółkę pochłoniął Holocaust. Tak więc, po latach, zaczęłam pogłębiać swoją wiedzę i odnalazłam dla siebie wspaniały nowy świat. Innymi oczami zaczęłam oglądać Kazimierz, mądrzejsza o zdobytą wiedzę. Kupowałam i nadal kupuję mnóstwo książek i marzy mi się, bym mogła dzielić się swą wiedzą z innymi: opowiadać o legendach żydowskich, wspaniałej kuchni... Na razie nie wiem, jak to wszystko ugryźć, pracuję nad tym. No, a teraz jeszcze doszła praca nad nową rolą. Z teatrem nie zerwałam kontaktu. Przed paroma laty zagrałam epizod w „Idiocie” w reżyserii Barbary Sass, które to przedstawienie odniosło sukces i zostało obsypane nagrodami. Teatr zawsze był moją pasją i ani przez moment tego nie żałowałam. Choć mój dziadek, który miał wielkie posiadłości, namawiał mnie ongiś na ogrodnictwo. Czasami, jak było mi trochę „skuczno”, myślałam: a może szkoda, że nie zostałam ogrodnikiem? Ale po chwili przychodziła kolejna myśl: przecież wybrałaś inny „ogródek” – teatr i uprawiasz te teatralne grządki, czasem lepiej, a czasem słabiej nawożone. Gdy studiowałam aktorstwo, utrzymywał mnie mój starszy brat. Kiedy przyjechał na egzamin dyplomowy po obejrzeniu powiedział: „Nie zmarnowałam moich pieniędzy”. Kiedy z perspektywy lat patrzę na swoją artystyczną przeszłość, sądząc, że i potem go nie zawiodłam.

Pani profesor Gryglaszewska nadal jest osobą aktywną, nie lubi na nic utyskiwać. Jeszcze do niedawna podróżowała po świecie. Odwiedziła wiele krajów, w tym również Epidaurus w Grecji – miejsce niemal święte dla ludzi teatru. – *To było coś fantastycznego. Amfiteatr w gaju Ajksklepiosa wypełniony różnokolorowym i różnorodnym tłumem widzów. A na scenie spektakl. Zachodziło słońce, robiło się coraz ciemniej i nagle rozświetliły się reflektory, a potem weszła srebrna kula księżycyca. Kicz, który w tej naturalnej scenerii był istnym cudem. Wtedy poczułam te parę tysięcy lat, które wciąż pracują na nasz współczesny teatr.*

Kiedy pytam panią profesor o „przepis” na wigor, dobrą kondycję i pogodę ducha, słyszę odpowiedź nader prostą: – *Kochana, jeśli w moim wieku chodzę o własnych siłach – co prawda na wszelki wypadek mam przy sobie laseczkę – to już jest dobrze i należy się z tego cieszyć. Moje życie nie samymi różami było usłane. Jak każdego, kto przeżył wojnę. To pozostaje na całe lata. W życiu osobistym też zdarzały się dramaty: straciłam pierwszego męża w Oświęcimiu, drugi zmarł... Ale w spadku po ojcu otrzymałam niezwykle ważną cechę: optymizm. Ojciec zawsze uważał, że z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji jest jakieś wyjście. Tego starałam się w życiu trzymać i to mi wielokrotnie pomagało. Dlatego każdemu, szczególnie w starszym wieku, życzę optymizmu. Z nim po prostu żyje się lepiej.*

JOLANTA CIOSEK